



DZIEWCZYZNY Z KONSPIRY

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL

DZIEWCZYNY Z KONSPIRY

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL

DZIEWCZYNY Z KONSPIRY

ZONA ZERO

Okladka
Fahrenheit 451

Zdjęcie na okładce
Andrzej Mikiciak

Korekta i redakcja
Ewa Popielarz, Martyna Posłuszna

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład i łamanie
TEKST Projekt

ISBN 978-83-946131-9-8

Copyright © Agnieszka Lewandowska-Kąkol
Copyright © for Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca
Zona Zero Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 877 37 35
faks 22 877 37 34
www.zonazero.pl
e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

Spis treści

Wstęp	7
I Ciozia Hania	11
<i>(Anna Rajner)</i>	
II Rodzinna „Solidarność”	29
<i>(Marta Urniaż, Ligia Urniaż-Grabowska, Małgorzata Grabowska-Kożera)</i>	
III Bała się o syna	59
<i>(Janina Bielecka)</i>	
IV Niczego nie żałuję.....	81
<i>(Renata Jasińska)</i>	
V Czy będę mogła wrócić?	97
<i>(Ewa Kubasiewicz-Houée)</i>	
VI Nie zdążyła na powstanie warszawskie.....	133
<i>(Iwona Kondratowicz, Mirosława Kondratowicz)</i>	
VII Poznałam, co to przyjaźń	149
<i>(Małgorzata Pawłowska)</i>	
VIII Mityczna Jadwiga.....	169
<i>(Jadwiga Chmielowska)</i>	
IX Trzeba działać, a nie oglądać się na innych.....	199
<i>(Maria Krokowska)</i>	
X Nie miała wyboru	211
<i>(Marżena Górszczyk-Kęciak)</i>	

XI Zbrosza walczy.....	239
<i>(Zofia Ślifirska. Działaczki opozycyjne ze Zbroszy Dużej. k.s. Czesław Sadłowski)</i>	
XII Jest zadanie – trzeba wykonać.....	259
<i>(Mirosława Danuta Wałęsa)</i>	
XIII Bardziej czuję się obrońcą niż oskarżycielem.....	287
<i>(Danuta Przywara)</i>	
XIV Tak jak babcia minerka wierzę w siłę kobiet.....	305
<i>(Małgorzata Tarasienicz)</i>	
XV Inaczej nie można było żyć.....	327
<i>(Barbara Napieralska)</i>	
XVI Było warto.....	355
<i>(Ewa Andrzejewska)</i>	
Bibliografia.....	383
Źródła ilustracji.....	384

Wstęp

Kiedy wracała z jednego z zebrań, jadąc pociągiem z Katowic do Gliwic, do przedziału wszedł człowiek ze strzykawką w rękę i uklął ją igłą w nogę. Błyskawicznie zerwała się z miejsca i zaczęła biec za nim. Gonila go przez cały wagon i gdy już miała go złapać za kołnierz, ten otworzył drzwi i z pędzącego pociągu wyskoczył w ciemność. Po nodze Jadwigi spływała krew, ale jej natychmiastowa reakcja sprawiła, że napastnik nie zdążył wstrzyknąć żadnego specyfiku. Dzięki temu tylko niewielka rana pozostała jako pamiątka po całym zajściu.

Tego typu wydarzeń w konspiracyjnym życiu wielu Polek nie brakowało, choć oczywiście nie wszystkie były tak perfekcyjnie do niego przygotowane jak Jadwiga Chmielowska. Gdy jednak podejmowały decyzję o rozpoczęciu opozycyjnej działalności, doskonale zdawały sobie sprawę, że skończyć się może ona różnie. „Od początku miałam świadomość – mówiła Ewa Andrzejewska – że trzeba będzie ponieść jakieś konsekwencje”. Ceną za aktywność w walce z władzą było ryzyko rewizji, przesłuchań i zatrzymania. Czasem trudno ustalić konkretny moment przystania do konspiracji, bowiem następowało to z biegu i było tak naturalne, jak to, że po zimie przyjdzie wiosna. Źródła wyboru takiej, a nie innej drogi życia przeważnie sięgały bardzo głęboko i mocno tkwiły w rodzinnym podłożu, zahaczając o czasy dawno minionej drugiej wojny światowej. W początkach PRL-u opozycyjność była karana szczególnie dotkliwie, z pozbawieniem życia włącznie. A mimo tego w podbydgoskim Fordonie, centralnym więzieniu dla kobiet, przebywało ich tam ponad cztery

tysiące. Przed zamknięciem w tym ponurym gmaszysku nie chronił nawet młodociany wiek aresztowanych, z których części brakowało nawet kilku lat do pełnoletniości. Najbardziej wytrwałych działaczek lata tam spędzone wcale nie zniechęciły, nie zmięczyły i gdy rozkwitła „Solidarność”, znalazły się w jej szeregach natychmiast. Wcześniej brały udział w zajściach roku '68 i w protestach przetaczających się przez kraj w latach 70. To nie kto inny, ale włóknarki z Łodzi sprawiły, że w lutym 1971 roku władze zrezygnowały z kolosalnych podwyżek cen ogłoszonych dwa miesiące wcześniej. Wprowadzenie stanu wojennego nałożyło na Polki bardzo poważne obowiązki i tylko dlatego, że im sprostały, proces transformacji ustrojowej i definitywnego włączenia naszego kraju w europejską wspólnotę mógł się powieść. Władze PRL-u na szczęście nie doceniały roli kobiet w życiu państwa, uważając naiwnie, że dzięki goździkom wręczanym im rokrocznie 8 marca nie zdecydują się na przeciwstawienie ludowym rządóm. Toteż 13 grudnia i później akcją aresztowań i internowania objęci zostali przede wszystkim mężczyźni. I wtedy właśnie one, czasem, by pomóc mężowi, synowi czy bratu, niejednokrotnie jednak już wcześniej mając dokładnie sprecyzowane poglądy, wkroczyły do akcji. Zbierały informacje, pisały, redagowały, drukowały, rozwodziły i roznosiły nielegalne wydawnictwa. Organizowały pomoc dla rodzin uwięzionych i ukrywających się, ale również dla samych internowanych, czasem prawdziwym cudem wyciągając aresztowanych z miejsc odosobnień. Trudno wymienić wszystkie zadania, których się podejmowały i które z poświęceniem i narażeniem swego zdrowia i życia wykonywały. A trzeba pamiętać, iż były to cele dodatkowe, nadzwyczajne, bowiem do tych pomijanych zwykle, niebranych w ogóle pod uwagę należało normalne prowadzenie domu i wychowywanie dzieci, zapewnienie trwałości rodziny, by ich walczący na barykadzie mężczyźni mieli dokąd wrócić. Polek w ten codzienny sposób przeciwstawiających się komunie było oczywiście najwięcej,

ale pozostają do dziś anonimowe, gdyż do wspomnień pisanych, mówionych, nagrywanych trafiły przede wszystkim opowieści tych, które przez władze zostały w jakiś sposób zauważone, to znaczy znalazły się choć raz na komendzie MO, w areszcie śledczym czy na sali sądowej.

Niezwykle zastanawiający jest fakt, że w obradach Okrągłego Stołu, w jego zasadniczej, decyzyjnej części, a nie przy tak zwanych podstolikach, brała udział ze strony opozycyjnej tylko jedna kobieta, mimo tak wielu, które swą działalnością do tego finału bezkrwawej rewolucji doprowadziły. Stojąc przeważnie krok za opozycjonistami, nie dążyły do zajmowania czołowych stanowisk w swych organizacjach, lecz do realizacji konkretnych celów, założonych w obowiązujących programach. Podobnie już po wyborach roku 1989 nie przypuściły szturm na rządowe i parlamentarne stanowiska. Często, choć oczywiście nie zawsze, zdawały sobie bowiem sprawę, iż ich kompetencje tak daleko nie sięgają, a ich poczucie odpowiedzialności nie pozwalało na eksperymentowanie na społeczności własnego kraju.

Bohaterkami tej publikacji są w większości aktywne działaczki opozycji demokratycznej. Zależało mi na tym, by pokazać różne jej oblicza, bowiem choć królową opozycji niewątpliwie była „Solidarność”, inne związki i organizacje, czasem nawet dziś mało znane, również wniosły swój wkład w bezprecedensową przemianę ustrojową, która, ku zdziwieniu i niedowierzaniu świata, u nas się z powodzeniem dokonała. Niektórym z bohaterek udało się pogodzić walkę w obronie solidarnościowych wartości z troskliwą pieczę nad domowym ogniskiem, inne za ustrojową bitwę zapłaciły rozpadem rodziny, brakiem porozumienia z dziećmi, trudnościami z poukładaniem sobie życia już w wolnej Polsce. Losy części z nich nie zostały wcześniej opisane, więc cieszę się, że Czytelnicy będą mogli przeczytać o nich po raz pierwszy. Kilka kobiet poznałam osobiście

i usłyszałam ich relację z pierwszej ręki, co zawsze jest dla autora najcenniejsze, i za taką możliwość serdecznie im dziękuję.

Historii anonimowych bohaterek nikt pewnie nigdy nie opisze, bo może one same nawet nie zdawały sobie sprawy i nie zdają nadal z roli, jaką w tym niezwykłym dla Polski czasie odegrały. Dlatego właśnie im tę książkę dedykuję.

I Ciocia Hania

Anna Rajner

W pierwszej paczce, którą dostała od mamy, były papierosy. Zdziwiła się, bo dotąd nigdy nie paliła. Miała dopiero siedemnaście lat, a dla panien z dobrych domów, do jakich niewątpliwie się zaliczała, przeważnie nie był to jeszcze wiek, w którym ulegało się nalogowi. Dopiero podczas pierwszego widzenia, na które zezwolono po przeszło półrocznym śledztwie, dowiedziała się, iż kiedy po kilkugodzinnej rewizji nad ranem zabierano ją z domu, razem z nią zniknęły dwie paczki papierosów należące do mamy. Ta zaś, przerażona sytuacją, drżąc o los jedynaczki, ani przez chwilę nie przypuszczała, że mogły paść łupem funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Posądzając córkę o ukrywanie nalogu, postanowiła jednak sprawić jej przyjemność, więc pierwszym produktem, jaki włożyła do przygotowywanej paczki, były papierosy. Sama była palaczką i wiedziała, co to nikotynowy głód.

Młodociany wiek nie stanowił dla ówczesnego aparatu władzy przeszkody w karaniu politycznych przestępców, we wtrącaniu ich do ciemnic i przepelnionych do granic możliwości cel. Hanna szybko się o tym przekonała.

Fordon. Wówczas miejscowość położona niedaleko Bydgoszczy, teraz jedna z jej dzielnic. Dla wielu kojarząca się wyłącznie z więzieniem, choć wybudowany tam w drugiej połowie XVIII wieku budynek, imponujący pod względem solidności i grubości murów, początkowo służył zupełnie innym celom. Znajdował się w nim dom akcyzy i cel, w którym pobierano podatek od polskich towarów przewożonych i splawianych Wisłą do Gdańska, był to bowiem zabór

pruski. Już jednak w 1853 roku zorganizowano tam więzienie dla kobiet i tę funkcję, widać najbardziej odpowiadającą specyfice budowli, pełniła ona trwale. Tylko przez dwa lata (1918–1920) nie przetrzymywano tam więźniarek. Wówczas gmach służył za koszary, najpierw dla niemieckiej Straży Granicznej, a potem dla wojsk polskich niosących wolność na te tereny. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne kobiety odsiadywały tam wyroki, a podczas drugiej wojny światowej całe transporty polskich więźniarek, po odbyciu kary w Fordonie, wywożone były do obozów koncentracyjnych w Auschwitz i Ravensbrück. Przez krótki okres po wyzwoleniu przebywały tam Niemki i Austriaczki, które pracowały w nadzorach obozów koncentracyjnych, oraz polskie kolaborantki. Potem zaczęto tu więzić Polki oskarżone o działalność polityczną, głównie z Armii Krajowej i te, które walczyły z terrorem stalinowskim w latach 50. XX wieku. W maju 1952 roku do Fordonu trafiła Hanna i jej o rok młodszą koleżanką. Szybko przekonały się, że nie są najmłodszymi pensjonariuszkami w historii szacownego zakładu.

Jedna ze współwięźniarek została aresztowana siedem lat przed nimi. Miała wówczas piętnaście lat. Wraz z koleżanką przystały do oddziału partyzanckiego. Były tam tylko dwie – piętnastoletnie dziewczyny pomagały chłopcom w ich leśnych działaniach. W 1945 roku obydwie zostały skazane na karę śmierci. Jedna z nich była sierotą, więc wyrok wykonano szybko. Do drugiej los się uśmiechnął – rodzice wystarli się u Bieruta o ulaskawienie. Dostała dożywocie, a miała już za sobą siedem lat odbywania kary...

Siedziała z nimi również staruszka, analfabetka ze wsi. Wszystkim wokół powtarzała to samo:

– Mam dożywocie. Siedzę za chleb.

Nie myliła się. Zasadzono jej dziesięć lat, co w jej wieku najprawdopodobniej miało się okazać dożywociem. Aresztowano ją zaś, bo z dobrego serca oddała partyzantom cały chleb, który miała, kiedy

w nocy zapukali do jej chaty. Nie dociekała rzecz jasna, czy rzeczywiście byli to partyzanci, czy też padła ofiarą prowokacji.

Fordon robił przygnębiające wrażenie, ale dla Hanny okazał się miejscem o wiele bardziej przyjaznym niż więzienia, w których przebywała wcześniej. Przyszli po nią 23 listopada 1951 roku, o godzinie 23.00. Dwaj oficerowie śledczy byli niezwykle skrupulatni. Rewizja trwała do 4.00 nad ranem, a pierwsze przesłuchanie zajęło ponad trzy doby. Przesłuchujący zmieniali się, a Hanna wciąż starała się być czujna, by nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego. W pewnym momencie przestała odpowiadać na pytania, nie podawała nawet swego imienia i nazwiska. Była tak wyczerpana, że miała wrażenie, iż traci kontrolę nad słowami padającymi z jej ust. Zorientowali się, że już nic z niej nie wydobędą, więc zamknęli ją w piwnicy. W celi nie było okna. Betonowa podłoga, ślad po kołku, znanym wówczas narzędziu tortur, i nic więcej. Tydzień, który tam przesiedziała, urozmaicała sobie czytaniem napisów pokrywających niemal każdy kawałek ściany. Były to przeważnie pożegnania, wyrażane w najrozmaitszy sposób. Pożegnania z rodziną, ukochanymi, ze światem, z domem... Na obskurnych ścianach zapisywały je te, które oczekiwały na wykonanie wyroku śmierci. Gdy przeniesiono Hannę do normalnej celi, z okienkiem, pryczą i stolikiem, znów codziennie była wywoływana na przesłuchania. Nie bili jej, ale chcieli pogrążyć psychicznie. Raz rzucili na stół okulary, ludzaco podobne do tych, które nosiła jej mama.

– Widzisz, ona też siedzi. Jest chora, bardzo chora. Jeśli się nie przyznasz, matka na pewno nie wyjdzie stąd żywa.

Było ciężko, ale jakoś wytrzymała. Po dwóch tygodniach przewieziono ją do więzienia śledczego przy bydgoskich Wałach Jagiellońskich. W dwuosobowej celi stłoczono ich dwadzieścia. Głównie kryminalistki. Najmniej sympatyczne, wręcz wredne, były te, które nazywano ekonomicznymi. Księgowe-malwersantki. Najbardziej troskliwie opiekowały się nią zaś prostytutki. Było lepiej niż

poprzednio, bo można było pracować i w dodatku pozwalano na wybór zajęcia – pomiędzy kartoflarnią, pralnią oraz pracownią, w której robiło się lalki. W pracowni Hanna czuła się najlepiej, gdyż przypominała jej ona szkołę, liceum plastyczne, w którym uczyła się do momentu aresztowania. Z dostępnych specjalizacji wybrała tkactwo artystyczne i akurat poznawała tajniki batiku, czyli wyrafinowanej techniki ozdabiania tkanin. Nanosilo się na nie wzory z wosku, a potem zanurzało w barwniku, który farbował tylko nieoznaczone woskiem miejsca. Praca nad tkaniną odbywała się wieloetapowo i wymagała dużych nakładów czasu. Hanna zaprojektowała serwetę w żyrafy, słonie i pomarańcze i dopiero zaczęła jej malowanie, kiedy została aresztowana. Któryś z kolegów dokończył dzieło i serweta, mimo nieobecności projektantki, znalazła się na uczniowskiej wystawie, organizowanej zawsze na zakończenie roku szkolnego.

W maju przed sądem wojskowym odbyła się wreszcie rozprawa, na którą wpuszczano tylko najbliższą rodzinę podsądnych. Na ławie oskarżonych zasiadali, oprócz Hanki i jej koleżanki, dwaj ich starsi, już pełnoletni koledzy, z których jeden stał na czele grupy. Zarzut był wspólny dla wszystkich – usiłowanie obalenia ustroju Polski Ludowej. Dowodami obciążającymi Hanke były listy, które wymieniała z instruktorką harcerską z Lublina, oraz harcerska finka. Nigdy nie dowiedziała się jednak, na kogo miała planować zamach przy użyciu tego narzędzia. Zasądzono jej cztery lata więzienia. Mama wniosła apelację od wyroku, ale z góry można było założyć, że zostanie odrzucona. Przedłużyło to tylko pobyt Hanny w budynku przy Wałach Jagiellońskich, a jak się później okazało, Fordon, do którego ją przeniesiono po zakończeniu procesu, oferował lepsze warunki pobytu. Przede wszystkim przyjemniejsze było towarzystwo, bowiem przebywały tam wyłącznie więźniarki polityczne, przeważnie ze znacznie wyższymi niż Hanna wyrokami. Wstyd wręcz było się przyznawać, że dostało się trzy czy cztery lata. Ponadto w ciągu dnia

cele otwierano, więc można było się przemieszczać po całym zakładzie, co znacznie poprawiało samopoczucie. Obowiązkowa była też regularna praca, dzięki czemu czas płynął szybciej. Zadanie Hanny polegało na przyszywaniu do mundurów odpowiednich naszywek. Nie było to nazbyt ciężkie zajęcie, ale monotonne i ogłupiające. Za to w pracowni, w której szyla, zezwalano na rozmowy, i to był największy walor całej tej sytuacji. Legendy AK i WiN-u opowiadały tam młodszym koleżankom o swoich przeżyciach, przybliżały im wydarzenia, których te nie знаły i o których nigdzie indziej pewnie by się nie dowiedziały.

* * *

– Teraz śledztwo to Wersal, a Fordon to pensjonat! – pisała do Hanksi koleżanka, z którą w podbydgoskim więzieniu wspólnie odbywały karę. W latach 80. za prowadzenie nielegalnej drukarni trafiła tam znowu i w takich superlatywach wyrażała się o dobrze im obu znanym zakładzie karnym.

Zaraz po wybuchu „Solidarności” Hanna także zaangażowała się w jej działalność, ale na szczęście nie miała okazji oceniać warunków bytowania w żadnym z więzień. Była wtedy siostrą przelożoną w Stołecznym Ośrodku Rehabilitacyjnym w Konstancinie. Poprzednio po wyjściu z Fordonu, co nastąpiło na mocy amnestii nie po czterech, ale po dwóch latach, postanowiła nie kontynuować nauki w liceum plastycznym i nie wracać już myślami do poprzednich planów, czyli studiów w Akademii Sztuk Pięknych. Zdawała sobie sprawę z tego, że z taką przeszłością na żadne studia nie zostanie przyjęta. Ponadto po swych doświadczeniach od życia oczekiwała czegoś zupełnie innego.

– Pobyt w więzieniu zupełnie zmienia optykę patrzenia na świat – mówiła z pewnym odcieniem nostalgii i swoistej dumy, choć najczęściej w tym było trzeźwej racjonalności.

Chciała wybrać zawód pożyteczny, potrzebny ludziom, a jednocześnie absolutnie apolityczny. Zajęcie takie, którego wykonywanie nigdy nie będzie sprzeczne z jej moralnością i sumieniem. I powód ostatni, ale wcale nie najmniej ważny – wiedziała, że musi jak najszybciej zacząć pracować i zarabiać na życie, bowiem mama chorowała i nie mogła już ich dwóch utrzymywać.

– Te dwa lata rozłąki ze mną i stałego zdenerwowania były dla mamy gorsze niż dla mnie. Z daleka zawsze wszystko wydaje się groźniejsze niż wtedy, kiedy się jest w samym centrum. Mnie tam, szczególnie w Fordonie, nie było aż tak źle, a dla niej ten czas liczył się podwójnie. Ogromnie się postarzała i zaczęła chorować.

Hanna wybrała pielęgniarstwo. W 1980 roku, po dwudziestu czterech latach pracy w zawodzie i zdobywaniu doświadczenia w różnych miejscach Polski, sprawowała odpowiedzialne stanowisko przełożonej w słynnym konstancińskim Stoczerze. Tam Komisja Zakładowa „Solidarności” powstała błyskawicznie, bowiem oprócz nowych członków przepisała się do niej większość pracowników należących do Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia. Hanna weszła w skład pierwszej Komisji Zakładowej i prowadziła jej sekretariat. Gdy ogłoszono stan wojenny, zaraz z samego rana w niedzielę przyjechała po nią samochodem lekarka będąca przewodniczącą zakładowej „Solidarności” i razem pojechały zrobić porządek z dokumentami. Część, którą chciały zachować, ukryły, a reszta została zniszczona. Nie zamierzały zaprzestać działalności i zdecydowały się przejść do podziemia. Koło zakładowe związku znacznie skurczyło się, ludzie wpadli w popłoch, przestraszyli się, trudno było przewidzieć, co nastąpi dalej. Została mniej więcej połowa aktywnych członków. Nikogo nie internowano, co – jak przypuszczała Hanna – wiązało się z charakterem ich pracy i odpowiedzialnością za zdrowie i życie pacjentów. Tymczasem członkostwo w Komisji Zakładowej przestało już jej wystarczać, stale chciała robić więcej,

wewnętrzny impuls pchał ją do działania. Zaczęła dostarczać do Konstancina podziemną prasę i drugoobiegowe wydawnictwa. Wtedy jednak, w 1983 roku, przeżyła osobistą tragedię, która na długi czas uniemożliwiła jej kontynuowanie intensywnej pracy zawodowej i równie intensywnej aktywności związkowej.

Jej mama zmarła na raka płuc. Choroba, leczenie, opieka, potem długie umieranie – to był koszmar, który wyczerpał ją całkowicie. Hanna związana była z mamą relacją nadzwyczaj silną. Tak się ułożyły ich losy, że przez czterdzieści dziewięć lat swojego życia rzadko się z nią rozstawiała. Była wychuchaną jedynaczką wychowywaną na Kresach Wschodnich, po tym, jak ojciec, oficer zawodowy, dostał przydział do 7 Pułku Artylerii Ciężkiej w Tarnopolu. Mama o korzeniach ziemiańskich, artystka po Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu, zajmowała się domem, tylko od czasu do czasu malowała i haftowała dla przyjemności. Robiła też dla Hani oryginalne zabawki. Najczęściej i najbardziej udanie malowała konie, które były jej drugą, obok sztuk plastycznych, pasją. W siodle czuła się na tyle dobrze, że ujeżdżała najdziksze rumaki, które przysyłano do pułku. Hania też, jak tylko zaczęła chodzić, wiele czasu przebywała w stajniach, a potem znakomicie jeździła konno. Zaprzyjaźniona był również z psami. Najukochańszy owczarek niemiecki Hipek świetnie sprawdzał się w roli niańki. Z psami bawiła się także w Suminie, rodzowym majątku mamy, do którego jeździły na całe lato. Ten raj dzieciństwa został zburzony przez wybuch wojny. Ojciec wyjechał na front i nigdy więcej go nie zobaczyły. Z przekazanych im przez PCK informacji wynikało, że został wywieziony na Syberię, a po amnestii wyruszył do Armii Andersa, ale do niej nie dotarł. Zostały same i musiały sobie jakoś radzić, a właściwie radzić musiała sobie mama, bo Hania miała dopiero pięć lat. Cudem uniknęły wywiezienia na Wschód. W znacznej mierze przyczynił się do tego niesamowity instynkt samozachowawczy mamy, dzięki któremu kilkakrotnie wywinęły się śmierci. Udalo

im się przedostać do Warszawy, gdzie mieszkało wielu członków ich rodziny. Kierunek ucieczki nie okazał się jednak najszcześniejszy – dotarli tam na krótko przed wybuchem powstania. Mamiń instykt pomógł im w jego przetrwaniu, ale nie uchronił przed wywiezieniem do Niemiec. Gdy wychodziły z prawie doszczętnie zburzonej Warszawy, Hania zdążyła zabrać tylko dwie rzeczy, które przechowywała długie lata jako pamiątkę po tamtym czasie. Pięknie wydaną książeczkę do nabożeństwa, подарowaną jej przez mamę, i laleczkę – ukochanego naguska. W Pile jednym z przystanków na drodze do Westfalii, w książeczkę włożyła gałązkę wrzosu, która tak doskonale się zasuszyła, iż również przetrwała do naszych czasów. W Niemczech mama pracowała w fabryce tekstylnej, wyrabiającej tkaniny na potrzeby wojska. Czuwając przy niej, gdy odchodziła z tego świata, Hanna wspominała właśnie pobyt w Emsdetten. Przed jej oczyma, czerwonymi od łez i niewyspania, przesuwały się obrazy mamy z dwoma opatrunkami. Jednym na nodze, po tym, jak walec z tkackiej maszyny zmiażdżył jej palec, drugim z tyłu głowy, gdzie miała ranę od odłamka, którym została trafiona podczas bombardowania fabryki. Potem, jako że zabrakło miejsc pracy, zwolnionych z zakładu przeniesiono na wieś, ale żaden z gospodarzy nie chciał zatrudniać tak wynędzniałych ludzi. Do ciężkich prac się nie nadawali. Nie bardzo wiedząc, co z nimi począć, zamknięto ich w stojącym gdzieś na odludziu baraku, po czym zupełnie przestano się nimi interesować. Gdyby nie fasola i mleko w proszku, pozostawione tam przez poprzednich lokatorów – Francuzów – pewnie cała osiemnastka zmarłaby z głodu. Po dwóch tygodniach uwolniły ich wojska angielskie. Potem przechodziły przez kolejne obozy przejściowe i na dłużej osiadły w Belgii, gdzie mama mogła użyć swych plastycznych talentów i zarabiała, szyjąc eleganckie stroje dla pań z towarzystwa.

Hanna z podziwem spojrzała na bladą, wychudzoną twarz kobiety leżącej na szpitalnym łóżku.

– Jakże ona umiała się przystosować do każdego warunków, mimo że przed wojną wiodła beztrudne życie i nie była przyzwyczajona do zarobkowej pracy!

Wkrótce została sama. Zabrakło osoby, z którą dzieliła tyle lat, obfitujących w trudne wydarzenia, jakich los im nie szczędził. Czy teraz zdoła żyć dalej, czy będzie tylko wegetować? Stres sprawił, że Hanna sama poważnie się rozchorowała – zapadła na żółtaczkę zakaźną. Osłabienie organizmu przyczyniło się do tego, iż prawdopodobnie zaraziła się od jednego z chorych. Czuła się potwornie, ale nie zdecydowała się na kurację w szpitalu. Miała wewnętrzne przekonanie, że zarówno dla zwalczenia choroby, jak i wyjścia z psychicznej zapaści, co niewątpliwie miało ze sobą związek, potrzebny jest jej przede wszystkim spokój. Trzy miesiące leżała w domu, na co opiekująca się nią lekarka wyraziła zgodę pod warunkiem, że codziennie będzie się jej telefonicznie meldowała.

– Chciała wiedzieć, czy jeszcze żyję – żartowała później Hanna.

By w pełni wyzdrowieć i wrócić do pracy, potrzebowała pół roku. Gdy tylko na chwiejnych nogach zaczęła wychodzić z domu, zaproponowano, by w swoim mieszkaniu poprowadziła punkt kolportażu. Ze względu na stan zdrowia chwilę się wahała, ale w końcu zgodziła się. Był to miły krok ku życiu, ku powrotowi do czynnej egzystencji. Znalazła się w centrum działań, wśród ludzi. Przychodzili do niej zarówno dostawcy wydawnictw podziemnych, jak i ich odbiorcy. Z dnia na dzień jednych i drugich przybywało. Zjeżdżali się z całej Polski. Nie знаła ich, nie starała się nawet zapamiętywać ich imion, które często pewnie były pseudonimami przyjętymi na czas konspiracji, nie mówiąc o nazwiskach, którymi w tych warunkach w ogóle nie operowano. W pamięci utkwił jej student z Opola. Przyjechał do niej po raz pierwszy około północy z ogromnym plecakiem na stelażu. Szybko wyladował go po brzegi prasą i książkami, których kształty widoczne były doskonale pod miękkim

brezentem, i uginając się pod obciążającym plecy ciężarem, chciał już wychodzić.

– A pan gdzie będzie nocował? – zapytała Hanna, nieco zdziwiona, że nie pomyślał o zamaskowaniu bagażu, by tak bardzo nie rzucał się w oczy.

– Na dworcu – odpowiedział chłopak ze spokojem, jakby było to jego stałym zwyczajem, który powinna znać.

– O nie, ja pana tak nie wypuszczę. W nocy, z takim bagażem, przecież pierwszy lepszy patrol zwróci na pana uwagę! A ja chcę jeszcze trochę popracować w tym fachu – uśmiechnęła się Hanna. – Przenocuje pan u mnie. Na dworzec pojedzie pan rano.

Pociąg odchodził o godzinie 5.00. O 4.00 obudziła go, dała mu śniadanie i wyprawiła w drogę. Przyjeżdżał potem do niej jeszcze wiele razy i już nigdy nie wspominał o nocowaniu na dworcu, a Hanna wciąż była zdziwiona, że nikt go nie zatrzymuje z tym trefnym bagażem.

Szybko liczba sprzedawanych przez nią tytułów książek urosła do stu egzemplarzy, a prasy oczywiście było znacznie więcej. Fizycznie czuła się już dobrze. I choć psychika potrzebowała jeszcze trochę czasu, by się w pełni zregenerować, świadomość, że jest potrzebna, że działa dla dobra kraju, bardzo jej pomagała. O tym, że jest do Polski bardzo przywiązana i losy kraju leżą jej na sercu, przekonała się sama wiele lat wcześniej.

W Belgii urządziły się całkiem nieźle. Mama, od kiedy miała własną pracownię krawiecką, zarabiała wystarczająco, by móc ich utrzymać. Ona chodziła do szkoły, poznały nowych ludzi, z którymi dobrze się rozumiały, jako że część z nich miała za sobą podobne przejścia, jakie stały się ich udziałem. Wciąż jednak czegoś im brakowało, za czymś tęskniły... Decyzja o powrocie do kraju nie była łatwa, gdyż na podstawie informacji docierających z Polski można było przypuszczać, że nie dzieje się tam najlepiej. Znajomi odradzali

wyjazd, podając liczne przykłady aresztowań ludzi wracających z Zachodu. Były jednak na tyle zdeterminowane, że już w maju 1947 roku osiedliły się w Bydgoszczy, gdzie mieszkała większość ich rodziny. Nikt ich wyraźnie nie prześladował, ale mama miała kłopoty ze znalezieniem pracy, gdyż wszędzie padało to samo pytanie:

– Dlaczego tak późno wróciła obywatelka do kraju?

Hanna, idąc śladem mamy, zaczęła uczyć się w Liceum Plastycznym. Zapisła się do Związku Harcerstwa Polskiego, który wówczas działał jeszcze na przedwojennych zasadach i był zdecydowanie przeciwny komunistycznej ideologii propagowanej przez rząd, co było zbieżne z jej poglądami, wyniesionymi z domu i wywiezionymi z zachodniej Europy. Nic dziwnego, że nie pozwolono takiej organizacji długo istnieć. W 1948 roku rozpoczęła się stopniowa jej likwidacja. Hanna i jej przyjaciele, zżyci już i dobrze się rozumiejący, postanowili trwać dalej w swej grupie, nazywając ją oficjalnie Kregiem Starszoharcerskim, a na swój użytek: „Rodzinką” lub „Winogronem”. Zdawali sobie sprawę, że działają nielegalnie, że muszą przestrzegać zasad konspiracji, ale to, co widzieli wokół, budziło ich zdecydowany sprzeciw, prowokowało do czynu. Nie mieli broni, nie szykowali zamachu, nie byli w żaden sposób groźni dla władzy, chcieli tylko poznać prawdę, nie znosili, gdy ich oszukiwano. Organizowali przede wszystkim prace samokształceniowe. Uczyli się tego wszystkiego, o czym nie mówiono w szkołach. Prowadzili długie dyskusje nad problemami, które ich ciekawiły. Dbali o pielęgnowanie świąt narodowych, organizowali wycieczki tematycznie z nimi związane, chociażby na warszawskie wojskowe Powązki czy do podziemi katedry Jana Chrzciciela przy Świętojańskiej. W normalnym kraju takiej młodzieży zwykle się pomagać w jej działaniach, lecz Polska lat 50. do takich z pewnością nie należała. Niestety stan ten trwał przez następne dekady, choć prób w kierunku zmiany sytuacji nie brakowało. Hanna, gdy już wyszła z więzienia i została uczennicą szkoły

pielęgniarskiej w Warszawie, z wypiekami na twarzy przeżywała polski październik 1956 roku i wydarzenia na Węgrzech. Nie mogła wtedy wiele zrobić, więc chociaż oddawała krew dla węgierskich powstańców. Po '56 roku, kiedy już jako dyplomowana pielęgniarka pracowała w sanatorium przeciwgruźliczym dla dziewcząt w Dziekanowie Leśnym, harcerstwo reaktywowano. Wróciła do niego z chęcią, a ze względu na specyfikę swojej pracy znalazła się w drużynie Nieprzetartego Szlaku, mającej urozmaicać ponure i często pozbawione perspektyw życie młodzieży chorej i niepełnosprawnej.

* * *

Obok aktywności zawodowej społeczna pomoc innym i działania na rzecz wyzwolenia kraju spod wschodnich zależności leżały nieustannie w sferze jej zainteresowań. Kto więc, jak nie Hanna, miał teraz stanąć w pierwszych szeregach Niezależnego Związku Zawodowego? Regularnie uczestniczyła jako służba medyczna w mszach za ojczyznę odprawianych w kościele św. Stanisława Kostki, i to zarówno wtedy, gdy przewodniczył im ksiądz Popieluszko, jak i po jego dramatycznej śmierci. Kolportażem podziemnych wydawnictw zajmowała się z wielką energią i zaangażowaniem aż do 1988 roku. Wtedy zaczęło się już mówić o konieczności negocjacji z rządzącymi, powstał pomysł Okrągłego Stołu. Pojawiła się możliwość rejestracji zakładowych kół „Solidarności”, choć jeszcze jako całość związek nie został oficjalnie uznany. Stocer był trzynastym zakładem w Polsce, a pierwszym w ramach służby zdrowia, który ujawnił swoje koło. W informacjach donosiło nawet o tym Radio Wolna Europa. Zaczął się nowy etap działalności, teraz już zupełnie jawnej i bardziej związkowej niż politycznej. W Hannę wstąpiła nadzieja, podobna do tej, której uległa, kiedy „Solidarność” powstawała – że znów będzie mogła robić coś dobrego dla kraju. Była zwolenniczką pracy organicznej

i już zastanawiała się, w jakiej dziedzinie zdoła zdziałać najwięcej. Pech chciał, że kiedy rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu, była zmuszona poddać się operacji szczęki i przez dziesięć dni przebywała w szpitalu. Tym, co działo się w kraju, była jednak tak podekscytowana, że trudno jej było skupić się tylko na leczeniu. Codziennie wieczorem jedna ze znajomych lekarek ze Stocera wykradała ją ze szpitala, co okazało się nietrudne, bowiem można było z niego bezpośrednio przejść do kościoła, a stamtąd na ulicę. Jeździły na spotkania z uczestnikami obrad Okrągłego Stołu, co dzień z kimś innym. Hanna wyglądała nieszczególnie z drutami sterczącymi z ust, ale zasłaniała je ręką, a często, pochłonięta toczącą się dyskusją, zupełnie o nich zapomniała.

W ponownie zarejestrowanej „Solidarności” rzuciła się w wir pracy. Weszła w skład nowo wybranej Komisji Zakładowej i została jej delegatem do Regionu. Natychmiast po powstaniu Komitetu Obywatelskiego zaangażowała się w jego prace. Czwartego czerwca, w dniu pierwszych niekomunistycznych wyborów, zasiadała w Komisji Wyborczej w Klarysewie. Tak jak każdy cieszyła się, kiedy się okazało, że niemal we wszystkich okręgach wyborczych zwyciężyła opozycja. Był to dla niej niezwykle ważny moment na długiej drodze starań, podejmowanych w różnym wieku i różnymi metodami, o wolną od sowieckiego dyktatu Polskę. W chwilach zadumy żałowała tylko, że nie doczekała tego mama, która – choć sama nie była czynnie zaangażowana w opozycyjne działania – swoje przecierpiała i sekundowała wiernie córce, często narażona na większy stres niż ona.

Po powrocie do Polski dwukrotnie musiały rozstać się na dłuższy czas. Najpierw, kiedy Hanna odsiadywała wyrok w więzieniu, i później, gdy po odbyciu kary postanowiła zostać pielęgniarką i wyjechała z Bydgoszczy do Warszawy, by uczyć się w szkole pielęgniarstwa. Po zdobyciu zawodu zawsze już szukała pracy, w ramach której oferowano mieszkanie na tyle duże, by mogły w nim razem żyć. Najczęściej

przebywał z nimi jeszcze trzeci lokator – pies, obie bowiem uwielbiały zwierzęta i uważały, że w najmniejszym nawet lokum znajdzie się miejsce dla czworonożnego przyjaciela.

Ale na chwile wspomnień i zadumy Hanna nie miała wówczas wiele czasu. Po wyborach tak intensywnie pracowała w Związku, że zrzekła się stanowiska przełożonej i przeszła tam na etat. Została sekretarzem Komisji Zakładowej i dokładała wszelkich starań, by pozytywnie rozwiązywać problemy najbliższego otoczenia. Słynna była batalia jej koła o dom dla chorych na AIDS, który senator Zofia Kuratowska założyła w jednej z konstancińskich willi. Okoliczni mieszkańcy początkowo nie chcieli się zgodzić na takie sąsiedztwo, była nawet próba podpalenia domu i członkowie stołeckiej „Solidarności” czuwali przy nim dzień i noc. Jednak akcja informacyjna i umiejętności perswazyjne Hanny załagodziły spór tak dalece, że ostatecznie sąsiedzi pomagali nawet w wyposażaniu willi. W ten sposób funkcjonowała Hanna do końca 1990 roku. Wtedy, z ramienia Komitetu Obywatelskiego, została kandydatką na radną i z rekordowym poparciem wyborców znalazła się w Radzie Gminy Mokotów.

– To, nie tylko według mojej opinii, była najlepsza i najskuteczniejsza rada, jaką można sobie wyobrazić. Zaczynaliśmy dopiero działalność samorządową, niczego o tym nie wiedzieliśmy, więc w trybie pilnym wszyscy staraliśmy się uczyć, ale byliśmy odważni przy sporządzaniu projektów i równie nieustraszeni w procesie ich realizacji. Przede wszystkim pozostawaliśmy pełni zapału i naprawdę chcieliśmy coś dobrego zrobić – podsumowuje te samorządowe początki Hanna.

Była przewodniczącą komisji pomocy społecznej, ale intensywnie pracowała też w komisjach zdrowia, kontaktów z organizacjami pozarządowymi i oświaty. Zależało jej na tym, by powstało jak najwięcej organizacji pozarządowych, i przyczyniała się do tego, załatwiają

im lokale, w których mogły działać. Szczególnie ciągnęło ją do porzuwionych przez los dzieci. Między innymi udało jej się doprowadzić do powstania na Mokotowie Ogniska imienia Kazimierza Lisieckiego „Dziadka”, bo choć część tych, znanych jeszcze sprzed wojny i świetnie realizujących cele opiekuńczo-wychowawcze, placówek reaktywowano, w tej dzielnicy nie funkcjonowała żadna. I właśnie wtedy, w czasie prac nad ogniskiem, zetknęła się po raz pierwszy z fundacją Synapsis, zajmującą się dziećmi i dorosłymi z autyzmem oraz ich rodzinami. Fundacja dopiero raczkowała, ale problem, wtedy całkowicie w Polsce zaniedbany, wydał się Hannie na tyle ważny, a ludzie skupieni wokół niego tak odpowiedzialni i pełni poświęcenia, że postanowiła im pomóc. Najpierw udało jej się wywalczyć – a wcale to łatwe nie było – działkę pod budowę. Ogromnie ucieszył ją moment podpisania aktu notarialnego o dzierżawie wieczystej terenu. Potem zaczęła zabiegać o fundusze na wzniesienie ośrodka dla tych nierozumianych przez ogół społeczeństwa ludzi. Kilkakrotnie pieniędzy zabrakło i budowa musiała stanąć, co było swoistym marnotrawstwem, gdyż przestój takiego przedsięwzięcia też kosztuje. Wreszcie, w 1999 roku, u progu nowego tysiąclecia, ośrodek uroczyście otwarto, a Hanna była tak szczęśliwa, jakby otrzymała prezent, o którym latami marzyła i którego już nie spodziewała się dostać. Była to pierwsza tego typu placówka w Polsce i właściwie od niej dopiero rozpoczęto u nas tworzenie systemu pomocy osobom z autyzmem i, co nie mniej istotne, ich rodzinom. Hanna poświęciła temu zagadnieniu dwadzieścia lat swego osobistego i samorządowego życia, wykorzystując w tym celu wszelkie swe umiejętności organizacyjne i znajomości wśród kompetentnych autorytetów w tej dziedzinie. Na co dzień uczestniczyła w funkcjonowaniu ośrodka, znana tam jako ciocia, do której zawsze można było zwrócić się o pomoc. Własnych dzieci nie miała, toteż z wychowankami pozostawała w serdecznych, rodzinnych niemal stosunkach.

Kiedy osoby represjonowane w okresie stalinowskim objęte zostały ustawą o prawach kombatantów, Hanna nie zamierzała dołączać do tej grupy, bowiem nie czuła się aż tak pokrzywdzona. Te dwa więzienne lata traktowała jako niezwykle pouczającą lekcję życia, w jakiś sposób dla niej pożyteczną.

– Być może szereg rzeczy, które potem udało mi się zrobić – maiała – zawdzięczam temu, co tu ukrywać, dość ponuremu okresowi.

Potem przyszła refleksja, że trzeba jednak zgłosić się dla celów historyczno-badawczych, by potomni mieli pojęcie o tym, jak to wszystko wyglądało. Po wizycie w urzędzie, wstrząśnięta, obiecała sobie, że nigdy tam nie wróci. Podczas zebrania trwała żenująca licytacja na cierpienia i zasługi. Nie mogła tego znieść i oburzona wyszła. Gdy później dowiedziała się, jak duże grono kombatantów lat 80. domaga się odszkodowań za swoje cierpienia, ogarnęła ją wściekłość i zdecydowała, że również wystara się o te pieniądze, ale przeznaczy je na szczytny cel. Oczywiście od początku знаła adresata darowizny, ale innych poinformowała o tym dopiero, gdy niezbyt duża kwota znalazła się na jej koncie. Tak powstał Fundusz Wieczysty Centrum Dziecięcego Synapsis, będący fundacją kapitałową. Dołożyli się do niej inni darczyńcy, wspierający działania na rzecz autystycznych dzieci. Gdy już powstał, Hanna zaczęła grać w totolotka, by móc go nadal zasilać. Żyła przyszłością, bez jakichkolwiek ciągłot martyrologicznych, powoływania się na trudne dzieciństwo, przerwana młodość. Była potrzebna tym małym istotom, i to było dla niej najważniejsze.

Czasem zastanawiała się, dlaczego działalność w opozycji i solidarnościowy zryw doprowadziły ją do tego właśnie miejsca i do aktywności, która wypełniała teraz większość jej życia. Istnieje jakaś analogia pomiędzy więziennym odosobnieniem a alienacją wynikającą z zatrzaśnięcia się w autystycznej skorupie.

II Rodzinna „Solidarność”

Marta Urniaż

Ligia Urniaż-Grabowska

Małgorzata Grabowska-Kożera

